

# Sport, partia i dolary

Krzysztof Gottesman

*Citius – altius – fortius, czyli szybciej – wyżej – silniej.*

Sport w czystym, jak go sobie wyobrażał Pierre de Coubertin, olimpijskim wydaniu.

Taki, jakiego już od dawna nie ma, a może i nigdy nie było. A na pewno nie było go w PRL, bo polityka nie pozwalała, a i przelicznik dolarowy był tak kuszący.

**F**rancuskie Euro. Znowu nas ogarnęła piłkarska gorączka. Oglądamy mecze, podziwiamy piłkarzy, liczymy na naszych. Widzimy w nich naszą reprezentację. Państwową, narodową, wspólnotową. Flagi w oknach, na samochodach. Nadzieje i emocje.

Te były zawsze. Piłka nożna, w ogóle wielki sport, towarzyszy mi od najmłodszych lat. Jako widowisko, również erzac innych emocji, kiedyś niedostępnych. Gdy nasi grali z Niemcami lub Związkiem Radzieckim, było najciekawiej i najgoręcej. Zwycięstwo na boisku, lepsze miejsce na mecie rekompensowały historyczne oraz współczesne klęski i upokorzenia. Były kiedyś takie hokejowe mistrzostwa, bodaj w 1976 roku w Katowicach, w których spadliśmy do niższej klasy, przegraliśmy prawie wszystkie mecze – ale wygraliśmy ten teoretycznie niemożliwy do wygrania. Ze Związkiem Radzieckim. I cała Polska była zadowolona, ba – zachwycona. I to nie na zasadzie „Polacy, nic się nie stało”. Przeciwnie, stało się coś bardzo wielkiego. I tak to w sporcie w PRL było zawsze.

Sport w PRL miał wymiar wyjątkowy nie tylko dla nas, kibiców. Polityczny uścisk odczuwali także sportowcy. Jeździli po świecie, widzieli, jak żyją ludzie za żelazną kurtyną, jak żyją ci, z którymi toczą sportową walkę. I porównywali, przeliczali.

Wstyd przyznać, ale nie mieliśmy wśród sportowców wielkich dysydentów. Takich, jak Věra Čáslavská czy Emil Zátopek z Czechosłowacji, którzy poparli Praską Wiosnę, potępili agresję wojsk Układu Warszawskiego na swój kraj i słono za to zapłacili. U nas tego nie było. Wybitni sportowcy raczej się dostosowywali do systemu, zgadzali się uczestniczyć w partyjnych i państwowych komitetach ku czci i ku chwale. Mieli za to spokój, choć na wszelki wypadek esbecja nie spuszczała ich z oczu.

Spokój był im potrzebny nie tylko do trenowania. To mieli jakoś tam zagwarantowane. Potrzebowali go, by choć w części wyrównać te różnice w poziomie życia, które tak ich raziły, gdy wyjeżdżali na Zachód. Byli młodzi, chcieli mieć to, co inni. Ubrania, samochody, pieniądze. Chociaż tak zwany sport amatorski był w demoludach fikcją, sportowcy dostawali wcale nie małe, z czasem coraz większe, pieniądze, ale gdzie tam im było do tego, co mieli ich koledzy na Zachodzie. Więc handlowali i przemycali. Wszystko, co się dało: złoto, kryształ, bele materiałów, ubrania, dolary, dzieła sztuki, nawet własny sprzęt sportowy. Kupowali, sprzedawali, opłacali celników i działaczy sportowych. I jakoś byli zadowoleni. Siedzieli cicho. Gdy przesadzili lub komuś podpadli, to wpadali – byli pryncypialnie potępiani i karani za zachowanie niegodne sportowca



Polski Ludowej. Wszechobecne fałsz i hipokryzja także i w sporcie dawały się we znaki.

Znana była historia dwóch piłkarzy warszawskiej Legii, bramkarza Władysława Grotyńskiego i prawoskrzydłowego Janusza Żmijewskiego, w 1970 roku przed półfinałowym meczem o Pu-



ostatecznej decyzji. Dopiero w latach osiemdziesiątych, w drugiej ich połowie, takie wyjazdy stały się częstsze. Wtedy zdecydowali się wyjechać do RFN słynny z gestu na moskiewskich Łuźnikach Władysław Kozakiewicz, późniejszy mistrz świata, bokser Dariusz Michalczewski i kilku niezłych piłkarzy. Wcześniej zostawali na Zachodzie najczęściej młodzi sportowcy, pełni nadziei na przyszłość.

Młodszy czytelnikom należy się wyjaśnienie. Sportowcy, podobnie jak inni, choćby artyści, naukowcy, nie mogli ot tak sobie wyjeżdżać na Zachód, bo chcieli i ktoś ich chciał. To było zawsze kwestią jakiejś gry. Przyjmowało się, że najwybitniejsi sportowcy, gdy najlepsze lata kariery mają już za sobą, w nagrodę mogą wyjechać. Najczęściej dotyczyło to piłkarzy, czasem siatkarzy, koszykarzy. Najpierw jeździli gdzieś do polonijnych klubów w Ameryce, Kanadzie, Francji. Nawet te niewielkie zarobione tam pieniądze były bardzo atrakcyjne. Z czasem zasilali lepsze kluby, zarabiali więcej, choć dla tych najlepszych nie byli już interesujący.

A wcześniej mogli być. Do dziś krążą legendy, jakie to kluby chciały mieć u siebie młodych Lubańskiego czy Deynę. Real był tylko jednym z nich, a pieniądze na owe czasy rzeczywiście ogromne. Partia jednak zdecydowała inaczej. Był kiedyś taki piłkarz Janusz Kowalik. W 1961 roku wraz kolegami zdobył wicemistrzostwo Europy juniorów, świetnie sobie radził w reprezentacji dorosłej. W 1967 roku wyjechał prywatnie do Stanów i został. Trafił do Holandii, gdzie grał naprawdę dobrze, i to w czołowych klubach. Jaka karierę mogli więc zrobić piłkarze jeszcze lepsi od niego? A takich było co najmniej kilku. A jaką karierę – także finansową – zrobiłby Lewandowski, gdyby do dziś strzelał bramki dla Znicza lub najwyżej Lecha i tylko mógł marzyć o wyjeździe na Zachód? ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

char Europy (!) z holenderskim Feyenoordem zostali przyłapani na przemyście i nawet poszli na krótko siedzieć.

Napisałem, że nie mieliśmy swoich sportowców dysydentów. To prawda. Ale nie wszyscy godzili się na pokrętnie zdobywany dobrobyt. Wielu naprawdę doskwierały brak wolności i duszna at-

mosfera. Ci – jak to się wówczas mówiło, gdy ktoś podczas oficjalnej podróży zostawał na Zachodzie – wybierali wolność. Najwięksi polscy sportowcy raczej się na to nie zdecydowali. Obawa przed nieznanym, nieuchronna rozłąka z rodziną, niepewność kariery skutecznie powstrzymywały przed podjęciem